

W kraju palm i słońca – 4

23 października 2022

Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

W Paranie

W zacieśnionej górami płytkiej zatoce staje statek brazylijski, oznajmiając swe przybycie do Paranagua niemiłosiernym gwizdem, naśladującym miauczenie kota. Zjawiają się kolejno na małych parowczykach: rewizja lekarska, celna i poczta; łódki przewoźników oblegają statek, zachęcając do korzystania z ich usług krzykiem i gestami wielkimi, nieumiarkowanymi, teatralnymi.

– Cinquo millreis! Tres!... Dois para persona! – licytują przewoźnicy drapiąc się na statek po linach i schodach.

Chwytając za ramiona, ręce, suknie, wołając do ucha:

– Patron, vamos?

Wśród podróżnych trzeciej klasy zjawia się Niemiec, brunet ze słodkawym uśmiechem, i zaprasza polskich emigrantów do siebie bardzo lichą polszczyzną. Ci jednak wzdragają się, oczekują obiecanego im przez książkę agenta rządowego; dopiero groźny rozkaz kapitana zmusza ich do opuszczenia statku.

Przed okrętem, o jaki kilometr, na niskich pagórkach bielą się domy Paranagua, otoczone ubogą roślinnością, zdobne strzelającymi w górę palmami.

Samo miasto z niskimi domkami, z bielejącą drogą i trotuarami wygląda na senną osadę, a to wrażenie potęguje się za zbliżeniem, gdyż niskie, parterowe domy mają okna szczelnie zakryte okiennicami, żadnych dorożek, ruchu przechodniów, żadnego gwaru, handlu i życia. Powietrze duszne, zacieśnione,

przesycone wyziewami pobliskich bagien i moczarów, usposabia do senności i lenistwa.

Przewoźnicy po krzykliwych zachętach do jazdy uderzają ospale wiosłami, nastawiają żagle, klnąc głośno brak wiatru, a mieszkańcy nadbrzeżni w zacienionych zakątkach sklepów zaledwie spojrzą na przybyszów.

Jestem więc w „Nowej Polsce” p. J. Siemiradzkiego, a wiedząc z dawnych oświadczeń „Gazety Handlowo-Geograficznej”, że Paranagua jest „portem polskim”, szukam Polaków i po długich dopytywaniach odnalazłem jednego, jedyne, stolarza z Galicji, ożenionego z Niemką. Trochę rozczarowany, idę na dworzec kolejowy.

Tu, w jedynej sali poczekalnej ruch, gwar, ścisk. Różnokolorowi i różnojęzyczni ludzie cisną się, krzyczą, grożą, popychają, roztrącają się, byle bliżej drzwi wiodących na wąski peron kolejowy.

Emigranci, zawiedzeni w swych nadziejach otrzymania biletów wolnej jazdy, klnąc, kupują; jeden tylko Hrymak z chorą żoną i czworgiem drobnych dzieci nie ma pieniędzy na bilet. Siedzi chmurny i zrezygnowany pod stacją. Na pytanie, co będzie robił, odpowiada:

– Tu, czy tam umrzeć, wszystko jedno, aby tylko śmierć przyszła.

Przy pomocy ks. Anzelma i składek jedzie i on z nami.

Pociąg ruszył.

Za miastem z jednej i drugiej strony toru kolejowego roztacza swój wiosenny przepych roślinność podzwrotnikowa: pysznie ulistnione drzewa, rozkwitłe oleandry, drzewa fuksji amarantowej, fioletowym kwieciem osypane ihaca-tirano, białe liliowce, pąsowe pasożyty ananasowe, złote kwiaty bagniskowe, smukłe palmy, rozłożyste palmity, laury, pomarańcze,

natłoczone kwiatem i owocami, przesuwają się przed oczyma.

Gdzieś w pobliżu stacji wśród drzew i kwiatów widać lichy, byle jak sklecony domek kolonisty włoskiego z winnicą, z plantacją bananów i ananasów. Włosi stanowią znaczną większość kolonizatorów pobraża brazylijskiego; pracownicy, zabiegliwi, oszczędni, marzą niemal wszyscy o powrocie do swej ojczyzny, toteż liczą się do najniestalszych kolonistów.

Im wyżej się wznosimy po krętym nasypie kolejowym, palmy stają się rzadsze, mniejsze, a ponad wszystkimi drzewami wznosi swój dziwaczny wierzchołek sosna brazylijska (*Araucaria brasiliensis*), wysokości 30–40 metrów, z pniem gładkim, równym, a dopiero u wierzchołka wypuszcza konary długie, nagie, zakończone kiścią zielonkawoszarych igieł. Robi wrażenie źle naśladowanej, zmarniałej palmy królewskiej: i tu, i tam pień nagi, równy, gonny, tylko tam u wierzchołka liść pełny, zielony, błyszczący, a tu skarłowaciały do kosmyka igieł szarawych, a i te z biegiem czasu odpadają i tylko nagie konary, zwrócone ku górze, zostają u wierzchołka. I stoi wysoka, naga, szara, smutna, istny trup wśród przepychu zieleni i barw niższych drzew i krzów.

Pociąg z machiną sapiącą pnie się w góry, zataczając kręgi, przesuwając się nad przepaściami, niknąc w tunelach licznych, a jedzie nieustannie wśród lasów, nagich skał i ponad szumiącymi potokami, bryzgającymi białą pianą na licznych wodospadach.

Kiedy niekiedy na zakrętach widać morze, odrzynające się od nieba fioletową linią, a pomiędzy górami nadbrzeżnymi miasteczko Morretes, wyglądające z tej wysokości białe, ładnie, schludnie.

Na 65. kilometrze podróży cisną się do okien, by zobaczyć skromny pomnik pomordowanych okrutnie w rewolucji 1894 r.: zwykły, czarny krzyż na postumencie cementowym w głębi przepaści, nad którą przebiega pociąg. Wjeżdżamy na rodzaj

stepu wilgotnego, z gajami sosny gęsto podszytej, i w dole bieleje Kurytyba, stolica stanu Parana. Domy rozrzucone, poprzecinane ogrodami, czynią na razie wrażenie rozległego i ludnego miasta.

W Kurytybie

Wiedząc z książki p. J. Siemiradzkiego (Za morze, str. 57), że „Brazylianie znajdują się w mieście w ogromnej mniejszości” i „że na otwarciu pierwszego sejmiku prowincjonalnego w Kurytybie Brazylianie wcale nie było, a republikę reprezentowało dziewczę w krakowskim stroju z brazylijską chorągwią, w asystencji konnej banderii Krakusów... przeróżne stowarzyszenia niemieckie, francuskie, włoskie, a nawet szwedzkie i angielskie...” – byłem przekonany, iż rozmówię się z łatwością w Kurytybie, już jeśli nie po polsku, to w innym europejskim języku.

Przyjeżdżam... wszędzie język „brazylijski”, idę ulicą jedną, drugą, trzecią – sami Brazylijczycy, bruneci, szczupli, z rysami przeważnie typu semickiego, dość krzykliwi, z ruchami szerokimi Południowców; wreszcie po długich poszukiwaniach znaleźliśmy z ks. Anzelmem bardzo liche, bardzo przewiewny i brudny pokój w hotelu niemieckim. Rano idę na targowisko, szukam Polaków – i istotnie, naliczyłem wśród mnóstwa wozów włoskich, niemieckich, brazylijskich, może a może dwudziestą część wasągów polskich kolonistów, i to przy specjalnych postojach obok sklepów, tzw. wend.

Sprawdziłem też, że o przewadze Polaków w Kurytybie mowy nie ma, bo cała Kurytyba posiada (w r. 1900) 2178 domów, z czego należy do Brazylijczyków 780, Portugalczyków 223, Niemców 650, Włochów 411, Polaków 58, Francuzów 49, Szwedów 4, Anglików 3; więc gdzie przewaga Polaków? gdzie ogromna mniejszość Brazylijczyków? skąd owe stowarzyszenia szwedzkie!? angielskie?

Emigranci rozproszyli się, a Hrymaka wziął w opiekę konsul

austriacki i obiecuje wystarać się o grunt dla niego u prywatnego właściciela, co się równa dożywotniemu poddaństwu, ale i to lepsze niż śmierć głodowa z dziećmi.

Samo miasto liczy co najwyżej piętnaście tysięcy mieszkańców, posiada dwie główne ulice i plac targowy, na których się koncentruje całe życie handlowe. Bruki liche, ale są, a na wysokich trotuarach co kilka kroków umocowane kółka żelazne do przywiązywania koni i mułów, na których w bardzo znacznej części przybywają okoliczni mieszkańcy. I jeszcze jeden szczegół dla nas dziwny na razie: zupełny brak kominów, kuchenne bowiem rury blaszane są umieszczone z boku, niemal niewidocznie.

Jednak szukam Polaków... Za miastem, w domu wynajętym istnieje towarzystwo „Zgoda i jedność”. W dość obszernej, skromnie umeblowanej sali zastaję kilku młodych mężczyzn: nauczyciel ludowy z Galicji i niegdyś praktykanci z różnych fachów... Wszyscy rozgoryczeni, rozżaleni, wymyślają na „chamów” (kolonistów); zwłaszcza robią to socjaliści; wszyscy są nieuznani, niedocenieni, pomarnowani. Każdy, jak żebrak swe rany, pokazuje i obnosi swe cierpienia urojone i prawdziwe... Przyjechali tu na posady ministrów, a przynajmniej starostów, radców szkolnych i gromowładnych dziennikarzy. Żaden nie myśli wziąć się do pracy fizycznej... „Nie na to przyjechałem tutaj”... „To nie zgadza się z moim stanowiskiem”... – i zawsze w kółko skargi, pretensje i narzekania, przekleństwa... Tej niby inteligencji jest dość w Paranie i tylko mały procent pracuje szczerze... inni dorywczo, aby zjeść dzisiaj. Do tej grupy zmarnowanych przybyło ze mną trzech, a ilu przyjedzie?

I co, kto, jak skłania i tych na poły wykształconych, i owych biedaków chłopów bez żadnych środków, do emigracji? Ci ludzie mogliby być przecież pożyteczni w kraju. Jedni z jadących ze mną emigrantów, jak Jakubski, kamieniarz, zarabiał w roboczy czas do dwóch złr. w. a. dziennie, inni byli gospodarzami małorolnymi; owi trudnili się szewstwem, malarstwem, tak iż ostatecznie mieli byt zapewniony i nie byli bez środków,

opłacili bowiem kolej do Bremy, przejazd okrętem (75 rubli od osoby dorosłej) i kolej z Paranagua. Każdy też miał trochę grosza z sobą, z wyjątkiem Hrymaka Wasyla, wiozącego chorą żonę i czworo dzieci.

Nie należy zbyt przeceniać okrzyczanej nędzy, bo jeśli w kraju trudno zarobić, zostają zawsze Niemcy, cierpiący na brak robotnika rolnego.

A i w samym kraju z biedą można wyżyć. Oto list, jeden ze stu, pisany do agenta: „U nas nie ma rady dla nas, pany lasy poniszczyli, folwarki powystawiali, u nas nie ma czym zapalić, ale roboty jest, dzięki Panu Bogu, dosyć, i jest dosyć chleba, dzięki Panu Bogu, ale my dla panów wyrabiamy całe swoje zdrowie i nie ma rady dla nas i dla naszych dzieci”.

Emigrują bądź co bądź jednostki energiczniejsze, dzielniejsze, które by mogły i w kraju i wyjść zwycięsko w walce o byt... a jako przyczyny pozostają: wrodzony popęd ludzki do poprawienia swego losu; świadczy o tym wymownie powyższy list Pistuna i działanie agentów.

O bremeńskich łowcach opowiadał już Piotr Stefański, ale nigdy nie zamarzył ani rząd centralny w Rio de Janeiro, ani rząd stanu Parana o tak czynnym, wpływowym a bezinteresownym agencie, jakim jest książka Opis stanu Parana.

Agent Towarzystwa „Norddeutscher Lloyd” pokazuje mi list z Galicji: „...i żądam od wielmożnego pana, niech będzie pan łaskaw dla mnie przysłać mapę o Brazylii, o której rozpowiadają ludzie, i całe o Brazylii opisy, i gdzie nasi emigranci pousiadali, to ja będzie się starać przynajmniej z parę rodziny sprowadzić...”

– Czy pan mu co posłał?

– Człowiek nie z kamienia – odpowiada z miną świętoszka – boleję nad cierpieniem ludzi i chociaż to mnie kosztowało, posłałem książkę i mapę.

– Jaką?

– Opis stanu Parana przez doktora Józefa Siemiradzkiego.

Przede wszystkim historia tej książki, wydanej po polsku już w drugim wydaniu.

Baron Serro-Azul, właściciel wielkich pustych przestrzeni i wysoki urzędnik w Paranie, chciał ściągnąć do tego stanu kapitały Ameryki Północnej i pod jego wpływem Manoel Correia napisał iście amerykańską reklamę stanu na wystawę w Chicago. I tę lichotę plantatorsko-kupiecką przetłumaczył p. Siemiradzki, dał ją bezkrytycznie czytelnikom, dodawszy od siebie nieobowiązujące już (w r. 1896) przepisy emigracyjne i mapę!

Wyobraźmy sobie człowieka biednego, żadnego zmiany na lepsze, któremu ktoś czyta lub któremu wpadnie do ręki ta książka, mówiąca o diamentach, złocie, miedzi etc. (l. c. str. 18); o ułatwieniach przewozu, dostania ziemi, domu narzędzi (str. 56–80); gdy wreszcie ujrzy załączoną mapę z napisami „poła diamentowe” „złoto”, „miedź”, „rtęć” etc. – jakie myśli, marzenia, pragnienia, budzą się w duszy? Czy nie rzuci na szalę swego życia, szczęścia, uczuć? Jakich środków i dróg nie użyje, byle się tam dostać, gdzie leżą skarby, oczekujące tylko jego przybycia!

Złota poszukiwali jakoby Amerykanie, o czym bardzo niejasno mówią notable parańscy, ale zarzucili, gdyż nie opłacała się eksploatacja; diamenty są tylko małe i bezwartościowe, są tacy, którzy je posiadają, ale nie znajdują kupca. I nikt, jak mówią jubilerzy, nie wierzy w diamenty parańskie, z wyjątkiem złudzonych Polaków, przesyłających zwykłe krzemienie do jubilera, prócz p. Siemiradzkiego, a i p. Kłobukowskiego, który (Wspomnienia, str. 91) chce mieć w rzece Tibagy już gotowe „brylanty”!!

O wydobywanie rtęci, miedzi, żelaza etc. nikt nigdy się nie kusił w Paranie; nawet nadzwyczaj bogate kopalnie w Minas

Geraes leżą nietknięte, bo nie ma robotników, dróg i zbytu.

Następnie rząd centralny nie zajmuje się emigracją, rząd Parany nie chce o niej wiedzieć, emigranci od nikogo w niczym nie otrzymują najmniejszych ułatwień, wskazówek, informacji, a prywatni właściciele zmieniają wolnych emigrantów w poddanych wieczystych.

W jakim więc celu rozsiewa się łądzące, a z gruntu fałszywe wiadomości o Paranie? Komu i na co są potrzebne łyzy i nieszczęścia ludzi, wywabionych z kraju?

P. E. Bendaszewski, który, zdaniem pana Hempla (Polacy w Brazylii, str. 22 i 151), był główną sprężyną ruchu emigracyjnego w Królestwie w roku 1891, dorobił się na krwi i śmierci emigrantów znacznego majątku, a potępiając go bezwzględnie, można zrozumieć pobudkę... Ale chyba tu nie zachodzi kwestia zrobienia interesu i książkę tę, źródło tylu nieszczęść i rozczarowań, należałoby wycofać z obiegu i zniszczyć jako zarazek chorobotwórczy.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki

Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”,
Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków

Źródło internetowe: WolneLektury.pl

Licencja: [CC BY-SA 4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)